

# I miejsce

„Historia przeplatana złotem”

Lena GRACZYK

*O konkursie dowiedziałam się z plakatu wywieszzonego na szkolnym korytarzu. Gdy zobaczyłam temat przewodni, wiedziałam o kim chcę pisać. Moje pierwsze zetknięcie się z Konopacką nastąpiło w 6 klasie szkoły podstawowej. Z okazji dnia sportu przygotowywałam o niej prezentację. Wtedy również wybór nie był przypadkowy. Biografia Haliny Konopackiej przypomina scenariusz do filmu lub fabułę ciekawej książki. Zabłysnęła nie tylko medalami zdobytymi na zawodach, ale i odwagą podczas przewozu polskiego złota za granicę na początku II wojny światowej. Była sportsmenką o artystycznej duszy. Pisała wiersze, malowała. Jak nikt inny zasługiwała (i nadal zasługuje) na tytuł kobiety renesansu. W swoim opowiadaniu chciałam stworzyć legendę lub mit o Konopackiej, by ponownie wyłonić jej historię na światło dzienne. Jej osoba wydała mi się zbyt wyjątkowa i inspirująca, by zamykać ją w ramach realistyczności. Starłam się (mam nadzieję, że z powodzeniem) sięgać do realizmu magicznego, którego zaczerpnęłam z opowiadań Brunona Schulza i utworów Gabriela Garcii Marqueza. Myślę, że dzięki temu zdołałam uchwycić istotę Konopackiej nie tylko przez pryzmat tego, czego dokonała, ale przez to, kim zwyczajnie była.*

*Wydaje mi się, że mam wiele wspólnego z Konopacką, co jeszcze bardziej zachęciło mnie do zgłębienia jej życiorysu. Ja również interesuję się sztuką (literaturą, teatrem, malarstwem i muzyką) na równi ze sportem - kocham żeglarstwo i poczucie wolności, które daje. Nie obcy jest mi też temat migracji. Mieszkałam na przemian w Rosji, Ukrainie, Rumunii i Polsce. Przeprowadzki już dawno stały się integralną częścią mnie. Myślę, że w przyszłości będę kontynuować "tułaczy" tryb życia. Poznawanie języków, kultur i spotykanie nowych ludzi rozbudowuje światopogląd i w pewnym sensie uzależnia.*

*Odpowiedź na pytanie, czemu wzięłam udział w konkursie jest prosta: lubię pisać, chciałam sprawdzić swoje umiejętności i wykorzystać dobry pomysł na opowiadanie. (Dużą rolę odegrała też przedmaturalna prokrastynacja. Był to jednak marginalny aspekt). Marzę o rozwijaniu swoich umiejętności pisarskich. Czytanie książek, odkrywanie nowych autorów i inspirowanie się ich unikalnym stylem jest chyba moją największą pasją. Z tego powodu cieszę się, że miałam okazję wprowadzić swoją "pisaninę" z szuflady, a taką możliwość dał właśnie ten konkurs.*

## Historia przeplatana złotem

Dzieciństwo Leosi było okrągłe.

Okrągłe jak szerokie runda maminych kapeluszy, które układały się w aureole wokół jej głowy. Mama chodziła lekko, ledwo muskając ziemię stopami w zgrabnych pantofelkach. Koronkowe skrzydła szeleściły za jej plecami przy każdym kroku. Leosia bała się bardzo, że pewnego dnia mama odleci za wysoko, więc wieszała się na rękawach sukienek i koszulek, żeby przyciągnąć do ziemi swojego anioła stróża w spódnicy.

Okrągłe jak koła dorożek, które sprzedawał tato. Miał uporządkowane wszystko z wyjątkiem biurka. Zawsze usłane było stosami kartek, arkusików, rachunków i dokumentów. Przyprószone kurzem niepotrzebnych spraw dorosłych. O wiele ciekawsze były szkice koni. Uwięzione w graficie parskały z niecierpliwości, by wyrwać się na zewnątrz. Tato Leosi traktował swoje twory z pobłażliwą czułością i nie rozstawał się z nimi ani na sekundę. Miał szkicownik w zasięgu ręki przy obiadowym stole, na przechadzkach w parku, w pracy i poza nią. Leosia spostrzegła pewnego dnia, że ojciec staje się bardzo podobny do swoich rysunków. Twarz wydłużała się, zęby powiększały. Śmiech przybierał kształt rżenia.

Na okrągło ich rodzinny dom tonął w chaosie niekończącego się koncertu muzyków-amatorów. Świat Konopackich powstał nie ze słowa, a z melodii. Matka śpiewała romanse przy szydełkowaniu jak pająk-lutnik misternie tkający obrusy i firanki. Z salonu donosił się baryton ojca, który przy akompaniamencie arii operowych poszerzał swoją stadninę o kolejnego rumaka. Antoszka podśpiewywała fałszywie podczas zamiatania. Leosia była przeświadczona, że służąca jest wiedźmą. Widziała, jak wylatuje okrakiem na tejże miotle przez okno. Nikt jej oczywiście nie uwierzył.

Okrągła była kolorowa piłka. Leosia wygrała ją w zawodach, kiedy brat zabrał ją do ogródków jordanowskich. Miała trafiać nią do celu, więc trafiała. Wtedy to wyszło na jaw, że ma talent do rzucania. Wracając do domu, dla odmiany kopali piłkę przez całą szerokość ulicy. Tadek był starszy, ale lubił siostrę. Dlatego nigdy nie zabierał jej ze sobą na mecze. Przynajmniej do momentu, gdy okazało się, że Leosia potrafi też dobrze kopać.

Okrągłe było wszystko oprócz Leosi. Wysoka i szczupła patrzyła na rówieśników z góry. W miarę jak rosła, jej ręce i nogi wydłużyły się. Świat zmałał, gdy zaczęła przemierzać go siedmiomilowymi krokami. Bliżej jej było do nieba niż ziemi, nic dziwnego zatem, że bujała w obłokach. Zaczęła pisać wiersze. Rymy śmigały wokół niej jak stadko jaskółek, a ona łapała od czasu do czasu jedną i zamieniała w słowa. Poetki, jak wiadomo, są ekscentryczne. Leosia miała głowę pełną cudaczych pomysłów. Postanowiła na przykład, że przepłynie Wisłę. Bez celu, dla hecy. Dziecinne „Leosia” przestało pasować do odważnej pływaczki i zdolnej poetki. Potrzebowała czegoś dumnego, dźwięcznego i wpadającego w ucho. Wymyśliła więc sobie Halinę i ubrała ją w czerwony berecik.

Czerwony berecik towarzyszył Halinie jak kapelusze matce lub szkicownik ojcu. Przyrósł do jej głowy i upodobił do muchomora na wysokiej zgrabnej nóżce. Ładnie kontrastował ze śniegiem. Wszystko nowe: narty, buty, kijki. Byle nie została zdemaskowana, byle znajomi nie wykpiłi niezdarności. Pierwsza przeszkoda - połączyć podeszwy z nartami i przekonać nogi, że lubią się z płozami. Nie było lekko. Nagle okazało się, że Halina zapomniała, jak dowodzić kończynami. Kijki plątały się, końcówki nart krzyżowały sobie drogę. Pozostawało pogodzić się z porażką. Dla wysokiej Haliny śnieg przy upadku był twardszy od kamienia. Wstyd. Poetka, pływaczka i miotaczka piłek rozłożona na ziemi w całej swej okazałości. Wstała, przejechała kawałek, znowu runęła jak długa. Ta droga do schroniska była przeprawą przez kręgi piekielne. Pieszko dotarłaby tam szybciej. Dla jej długich czaplich nóg nie było to przecież żadnym wyzwaniem. Ale co z ambicją i honorem? Gdy zmęczona i obolała padła w końcu na posłanie, zasnęła momentalnie.

Rano obudziła się z myślą, że kocha narty. I że jest głodna jak niedźwiedzica. Od tamtej pory Tatry stały się jej domem. Zdobycie schroniska w jednym kawałku było ważnym zwycięstwem dla Haliny. Uczyła się szybko i wszędzie było jej pełno. Szusowała po stokach, świecąc czerwoną czapeczką. Rozpoznawali ją ludzie, ba, lasy i skały witały ją serdecznie za każdym razem, gdy śmigała po ośnieżonych zboczach. Nie znały jednak Haliny-Leosi. Dla nich była Czerbietą. Czerwoną kobietą w białym krajobrazie.

\*\*\*

Biało-czerwone chorągiewki dygotały w rękach garstki polskich kibiców. Trzęsły się z podniecenia, gdy na stadion wkroczyła Konopacka. Halina wydawała się spokojna i opanowana. Posągowa. Górowała nad rywalkami. Wzrok miała jednak zamyślony i nieobecny. Dzień nie zaczął się dobrze. Wstała rozdrażniona, lewą nogą. Pech. Jajecznicza była przesolona, więc rozbiła talerz. Rzuciła nim jak dyskiem przez jadalnię. Na rozgrzewkę.

Halina nigdy nie spodziewała się, że wystąpi na igrzyskach. Nic nie można było na to poradzić. Jej los został przesądzony dawno temu w ogródkach jordanowskich. Była na studiach, kiedy po raz pierwszy wzięła do ręki dysk. W Warszawie nie ma gór. Ubolewała nad tym przez większość roku do nadejścia wyczekiwanej zimy. Wtedy wracała w Tatry. Narty były jej pasją, ale stolica mogła zaoferować tylko stadiony. Heła zaciągnęła ją na jeden z nich, a Halina poszła od niechcenia, żeby koleżanka dała spokój.

Na stadionie Czerbieta ożywiła się. Zainteresowały ją płotki, tyczki i poprzeczki. Spróbowała wszystkiego. Skakała i biegała z lekkością łani. Na deser zostawiła sobie dysk. Płaski i okrągły jak kapelusze mamy. Zabawne, że ma rzucać nakryciem głowy. Drewniany krążek ogrzał się w dłoni. Stała w wyznaczonym kole. Poczuli się bezpiecznie i pewnie. Swojsko. Szybkie dwa obroty, wymach i kapelusz poszybował przez boisko. Leciał daleko. Chyba pobiła jakiś rekord. Ludzie-mrówki biegali z metrówkami i pocierali ze zdumienia oczy. Z trybun obserwowała to uskrzydłona Nike i dawała Halinie błogosławieństwo. Szeptem. Bogowie nie powinni mieszać się w sprawy śmiertelników.

W deszczowym Amsterdamzie Halina musiała więc wygrać. Dla tych drżących chorągiewek chociażby. Czuła, że jest gotowa. W obrocie mignęła czerwona czapeczka. Dysk leciał nisko. Przecinał powietrze świszczącym ostrzem. Czas wstrzymał oddech, gdy krążek zbliżył się do oznaczonej czterdziestką granicy.

\*\*\*

Konwój zamaskowanych autobusów miejskich sunął w stronę rumuńskiej granicy. Zmęczone koła z trudem toczyły się po wyboistych drogach. Polskie złoto w drewnianych skrzynkach drzemało na miejscach pasażerów. Noc okryła je ciemnym kocem i nuciła kołysanki. Halina nie zmrużyła oka od wielu godzin. Zastępowała męża pochrapującego na siedzeniu obok. Dłonie wrosły w kierownicę, a noga zapuściła korzenie w pedale gazu. Strach przed pościgiem utrzymywał ją na jawie. Klucz niemieckich bombowców tropił ich dziwną karawanę od trzynastu feralnych dni. Uciekinierzy bali się postojów i mostów. Noc stała się dniem, światło - zgubą. Nic nie było dobrze przygotowane.

Ich misja zaczęła się od poszukiwania pojazdów. We wszechogarniającym chaosie zawieruszyły się ciężarówki. Do wyboru mieli samochody osobowe i żółto-czerwone autobusy. Przemalowali je na kolory ziemi, żeby nie rzucały się w oczy. Załadowali wszystko co złote. Bank Polski - do autobusów, medal olimpijski Haliny - na dno walizki, Złotą Kaczkę - na przedwczesną migrację do ciepłych krajów. Mieli po drodze. Legenda sportu ratowała legendę warszawskich piwnic.

Prowadziła z mężem na zmianę. W dzień ukrywali się we wsiach albo lasach. Rozdzielali się z resztą przemytników. Tak było bezpieczniej w kraju, gdzie rozszalała się wojna. Ignas to przewidział. Walczył już podczas apokalipsy i czuł napięcie nadciągającej burzy. Zachował zimną krew. Był głową operacji, a Halina jego prawą ręką. Jak zawsze.

Poznali się przez przypadek. Halina trenowała. Robiła zamach na kolejny rekord świata. Dysk wylądował wprost pod nogami Ignacego. Niski człowieczek w czarnym meloniku często odwiedzał stadiony, żeby popatrzeć. Tego dnia Kupidyn miotał dyskiem. Halina miała słabość do kapeluszy. I do poezji.

Matuszewski miał szczęście, że przyszedł na świat w rodzinie krytyka literackiego. Dyskusje o poezji miał we krwi. Rozebrał Halinę z kostiumu niezłomnej atletki i wypuścił z zakurzonej klatki rymy-jaskółki. Ona zaś, patrząc mu w oczy, zdemaskowała ukrytą pod skorupą powagi i obowiązków liryczną duszę. Krzywo zerkano na smukłą olbrzymkę przechadzającą się pod rękę z karłem o poharatanej przez wojnę twarzy. Halina i Ignacy gwizdali na krytykę. Ślub wzięli w Rzymie. Bukiet, którym rzuciła za siebie Halina doleciał do samej Warszawy. Tak przynajmniej twierdzą świadkowie z Twardowskim na czele.

Czerbieta odnalazła się w roli żony dyplomaty, a później również ministra skarbu. Pomogła jej w tym znajomość francuskiego i rosyjskiego, którą wyniosła z domu. Gdy Ignacy miał głowę zaprzątniętą innymi sprawami, przyjmowała poważnych gości. Uwodziła ich błyskotliwością i urokiem osobistym. Nie porzuciła jednak sportu. Lawirowała między salonami a stadionem, futrem z nerek a zielonymi spodenkami AZS-u. Nowa funkcja niosła ze sobą także odpowiedzialność, której ciężar w postaci ton złota spoczął na ramionach Haliny i Ignacego we wrześniu 1939 roku.

Odeskortowali polskie eldorado na granicę rumuńską, skąd nadali do Francji depezę: „Z wszystkimi dziećmi jedziemy szczęśliwie”. Pociągiem dotoczyli się do portu w Konstancy. Przeładowali złoto na brytyjską łajbę, której kapitan z conradowskim spokojem wilka morskiego przyjął do wiadomości, że jego Eocene będzie najdroższym okrętem w historii. Przez całą drogę do Turcji Matuszewski i Brett prześcigali się w kopceniu. Ignacy - papierosów, kapitan - fajki. Halinie przypominali zmartwionego dwugłowego smoka w meloniku i czapce marynarskiej. Kolejna przesiadka na pociąg w Ankarze. Zmęczenie. Niepokój.

Przed rozstaniem Halina jeszcze raz przejrzała bagaże. O zgrozo! Zgubiła medal. Ten pierwszy zdobyty dla Polski złoty medal został pożarty przez historię. Dla pocieszenia wyrwała Złotej Kaczce pióro z ogona. Przytwierdziła je do kapelusza, pocałowała Ignacego w oba policzki, a Kaczkę w czubek dzioba i odjechała do Paryża. Na ustach pozostał połyskujący cień.

We Francji Halina doznała chwili wytchnienia. Ale nie spokoju. Czekwała na męża. Wiedziała o upadku Polski. Dużo myślała o domu. Wspomnienia ogródków jordanowskich, Tatr, wiedzmy Antoszki, koronkowej mamy i pergaminowego ojca prześladowały ją dniami i nocami. Musiała je rozchodzić. Spacerowała więc po Paryżu. W Ogrodzie Luksemburskim zatrzymała się na chwilę w jednej z alejek. Zabawnie wyglądała - wytworna olbrzymka na małej ławeczce. Zaczęła skrobać patykiem po piaszczystej dróżce, gdy jegomość w lotniczych goglach zajrzał jej przez ramię:

- Czy to kapelusz? - zagadnął uprzejmie.
- Wygląda bardziej jak wąż boa - odpowiedziała Halina z roztargnieniem.